

Mieczysław
Fogg



ISKRY

Od palanta do belcanta

Z

się od słów: „Pałacyk Michła, Żytnia, Wola — bronią jej chłopcy od Parasola”.

Pewnego dnia śpiewałem niejako w „koncercie życzeń” w szpitalu na rogu Wilczej i Emilii Plater. Nie wiedziałem wtedy, że echa tego mojego występu dadzą o sobie znać jeszcze po wojnie. Było tak. Gdy się znalazłem we wspomnianym szpitalu, podszedł nagle do mnie średniego wzrostu sierżant ze staropolskim wąsem, jak się okazało — strzelec wyborowy. Pełen podniecenia powiedział, że jego ciężko ranny syn prosi, abym mu coś zaśpiewał. Podszedłem do łóżka. Leżał tam kilkunastoletni rudy chłopiec, z pobladłą twarzą. Gdy mu zaśpiewałem, podniósł powieki, a na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech...

W 1947 roku przyjechałem na występy do Koszalina. Idę ulicą, gdy nagle z budki z wodą sodową wyskoczył jakiś tęgi jegomość i biegnie prosto do mnie:

— Wielkie nieba! Kochany pan Mieczysław!

W ten sposób powitał mnie ów sierżant, teraz w cywilu, który szczęśliwie przeżył Powstanie razem z synem. Chcąc mnie natychmiast ufetować, podjął mnie lodami, które sprzedawał w budce. Musiałem ich tyle zjeść, podczas gdy on opowiadał mi o swoich dalszych powstańczych losach, że później przez długie tygodnie nie mogłem patrzeć na lody. W maju 1969 r. znalazłem się w Złotorzy, gdzie spotkałem syna owego sierżanta, dorosłego już i dzieciatego mężczyznę.

Często wracam myślami do Powstania, zwłaszcza w dniach, gdy zbliża się rocznica heroicznego zrywu warszawiaków. Ale nie tylko myślami. Powstanie staje się tematem rozmów w gronie najbliższej rodziny (ot, mam coś z manieri żołnierza lubiącego wracać do frontowych wspomnień!). Moimi „abonamentowymi” słu-